

POKOJOWE WYKORZYSTANIE ENERGII

Z wielką przyjemnością zabrałem się do lektury artykułu „Bitwy morskie” w marcowym numerze „Rejsu” przynajmniej z trzech powodów.

Jerzy Rogacki



Po pierwsze: zdjęcie najlepszych chyba na świecie szantymenów (Bobba Webba, Pete'a Hayseldena, czyli Shanty Jacka i Johnny Collinsa) występujących razem, to dla mnie wystarczający powód, żeby zainteresować się tekstem towarzyszącym obrazkowi. Po drugie: tytuł „Bitwy morskie” jest mi szczególnie bliski, a jeśli chodzi o przypadkową zbieżność z tytułem kasety „Czterech Refów”, to nadal zainteresowany jestem recenzjami zaró-

wno fachowców jak i amatorów. Po trzecie: autor jest od 7 lat moim przyjacielem i nic nie wskazuje na to, żeby coś się miało zmienić.

Już sam wstęp poruszył mnie dogłębnie, ponieważ znając Andrzeja, nie posądzałem go nigdy o agresywne zamiary wobec kogokolwiek. Walka o dusze polskich żeglarzy - to brzmi groźnie.

Jednak już pierwsze akapity uspokoiły mnie. Mój przyjaciel na-

dal jest zdrowy, tylko, jak gdyby „poinformowany inaczej”. Mimo wielkiej do niego sympatii, pozwolę sobie na kilka uwag, które naszym czytelnikom też mogą się przydać.

Żadnych przygotowań do Wielkiej Bitwy, ani nawet do tych mniejszych potyczek nie zauważyłem, mimo iż śledzę ten akwen od bardzo dawna. Rozłam wśród miłośników szanty i pieśni morskiej, czy też ogólnie biorąc, żeglarskiej jest fak-

tem i dokonał się jeszcze zanim Rysiek Muzaj w 1992 r. ustawił perkusję na scenie Korony w Krakowie.

Podziały są naszą narodową specjalnością

i trudno wymagać, żeby wszyscy lubili wszystkich - nawet w znakomicie zgranym kiedyś środowisku, jakim byli żeglarze. Mówię o tym w czasie przeszłym ponieważ przy tak masowym ruchu jak obecnie, większość „integruje się we własnych gronach” i nie widzi konieczności wychodzenia poza nie.

Wracając zaś do „podziału na dwa wrogie obozy”, uważam że obozów jest więcej i że wcale nie są sobie wrogie. Mam też nadzieję, że po przeczytaniu artykułu Andrzeja nikt nikomu krzywdy nie zrobi, a ten rodzaj sztuki, do której niewątpliwie należą szanty i ich wszelkie mniej lub bardziej wynaturzone formy, będzie się nadal rozwijać. Czymś odrębnym jest sztuka tolerancji i kompromisu. Wszyscy się jej uczy my, wiedząc że w Zjednoczonej Europie będzie ona niezbędna do życia. Chciałbym także zwrócić uwagę, że w „Zjednoczonej Europie Szantowej” a nawet trochę dalej, to my już byliśmy. Niestety

od kilku lat niektóre próby znalezienia „polskiej drogi” w tej dziedzinie raczej prowadzą nas do Azji.

Szanuję tradycje i kocham szanty klasyczne innych zresztą nie ma, których jest w sumie niewiele (na świecie kilkaset, u nas kilkadziesiąt) i tradycyjne pieśni morskie, których jest znacznie więcej (u nas też) oraz pieśni współczesne inspirowane tradycją i nierzadko stylizowane na szanty. Uważam też za jak najbardziej naturalne związki tej muzyki z muzyką folkową morskich nacji, gdyż jest to jej niewielka część. Tylko u nas

istnieje fenomen

znany od dawna jako „piosenki żeglarskie” i tylko u nas pisze się takie utwory nieomal na zamówienie. Chętnie słucham też innych gatunków muzyki, nawet bardzo głośnej, w których... muzyka w ogóle jest. Nie znoszę natomiast bezmyślnego łomotu, który w połączeniu z innymi środkami służy tylko wprawianiu ciała w ruch a resztek psychiki w stan oszołomienia. Nie mam też nic przeciwko tańcom podczas śpiewania tradycyjnych szant i pieśni morskich, pod warunkiem, że nie przeszkadza to innym, któ-

rzy akurat świadomie zrezygnowali z dyskoteki.

Te i inne moje poglądy w żaden sposób nie uprawniają mnie do lansowania tego punktu widzenia (i słyszenia) jako jedyne obowiązującego. Nie zachęciły mnie też do jakiegokolwiek „walki o dusze polskich żeglarzy”.

Festiwali i koncertów jest naprawdę dużo

można sobie wybrać i wykonawców i miejsce a czasami nawet i odpowiednie towarzystwo. Nie wszyscy wykonawcy muszą występować wszędzie. Sprawa odpowiedniego modelu i charakteru imprezy, to sprawa organizatora, który „ma zawsze rację” i za nią odpowiada. Dotyczy to zarówno imprez z kilkusetletnią tradycją, jak i tych, które właśnie powstają. Mam też nadzieję, że „zwolennicy przeciwnego obozu” sądzą podobnie i chciałbym żeby także na imprezach, na których dominuje łomot wszyscy mogli się czuć bezpiecznie.

Co do ewolucji a nawet komercjalizacji w śpiewaniu szant, to muszą się zgodzić. Nagrania z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, które służy-



Koncert na pokładzie „RUTKA”

ty później jako wzorce do tworzenia polskich wersji językowych już były stylizowane, ich polskie kopie tym bardziej. Nawet użycie gitary, oczywiście akustycznej, która wydaje się nieodzowna w żeglarskich śpiewach, jest już sporym ustępstwem w kierunku współczesności. Wprowadzenie gitary basowej, nawet pod warunkiem, że coś jeszcze oprócz niej słyszać, nie jest już takie oczywiste. W tej muzyce takich brzmień nigdy nie było. Jeśli jednak pomaga to utworowi, dlaczego nie? A inne instrumenty o brzmieniach „elektrycznych”? Perkusja? No pewnie, kto dzisiaj gra bez perkusji. Rodzi się tylko pytanie po co to wszystko? Cóż, widocznie inaczej nie można. Artyści inaczej nie mogą grać, publiczność inaczej nie może słuchać. I wszystko jasne. Moda na „unplugged”, która przyszła od znudzonych łomotem rockowców, ominęła szantowe podwórko, ponieważ tu do niedawna było wyłącznie bez prądu. Nie mam nic przeciwko różnym eksperymentom ani przeciwko „nieskrępowanej wypowiedzi artystycznej”. Chęć podobać się publiczności i grania w bardziej czy mniej współczesny sposób jest jednak

czasem silniejsza niż zdrowy rozsądek. Grupa „Smugglers”, która w dużej mierze powinna się czuć odpowiedzialna za „rockowe” i „pseudo-rockowe” przemiany w polskim szantowaniu, do dzisiaj potrafi się posługiwać instrumentami, które sarna kiedyś wprowadziła, czego nie można powiedzieć o ich licznych naśladowcach. Ci, którzy jeszcze bardziej eksperymentują na tym rynku, będącym w stanie wchłonać wszystko, bardzo często w ogóle nie wiedzą nic na temat utworów, którymi się posługują, a nierzadko także na temat swoich własnych instrumentów.

Wobec nieuchronnego procesu przemian, jedyny podział jaki mi się nasuwa, to podział na muzykę dobrą i złą

Na koniec pragnę też przypomnieć mojemu przyjacielowi Andrzejowi Goltzowi, że w rejsie w 1992 r. na s/y *HENRYK RUTKOWSKI*, nie brali udziału przedstawiciele żadnych wrogich obozów. Podobnie zresztą było rok później. Organizacją rejsu, prowadze-

niem wacht (stanowiska oficerskie) i oczywiście koncertami od początku do końca zajmował się zespół „Cztery Refy”. Załoga (w tym również zawodowa: kapitan, mechanik i bosman) wiedziała na jaki rejs i z kim się wybiera. Gdyby byli tam jacyś przeciwnicy, być może mielibyśmy już za sobą pierwszą bitwę morską. Okazją była znakomita. Rejs zakończył się jednak szczęśliwie w Świnoujściu i po wyjątkowo upojnym balu kapitańskim, wszyscy bez wyjątku chcieli płynąć dalej. W załodze oprócz „młodej entuzjastki” z Krakowa było jeszcze kilka osób współpracujących z „Halsem” i naprawdę nikomu do głowy nie przychodziły żadne bitwy. Pokojowe wykorzystanie energii nastąpiło także w 1995 r. na krakowskim festiwalu, którego tematem były właśnie „Bitwy morskie”. „Cztery Refy” i inni posądzani o skrajną ortodoksję, pomogli organizatorom „Shanties”, wprowadzając do obiegu kilkanaście nowych utworów, tematycznie związanych z hasłem festiwalu. Wśród nich znalazło się kilka śpiewanych do dzisiaj, nawet przez tych, którzy nie wyobrażają sobie szanty bez elektryczności.



Szanty śpiewano także przy pracy, ale głównie dla potrzeb telewizji BBC